



Regina Mikołaj

Były sobie wspomnienia...

Wstęp

„Były sobie wspomnienia...” powstały w oparciu o zapiski pamiętnikarskie, których początek sięga roku 1939. Nazwiska osób będących uczestnikami tychże zostały zmienione ze zrozumiałych względów, a przede wszystkim autorka występuje pod pseudonimem Reginy Mikołaj, by wzmocnić anonimowość bohaterów opisanych wydarzeń. Niektórzy z nich żyją wśród nas, po innych zostały już tylko bliższe lub dalsze rodziny.

Niech wolno mi będzie w tym miejscu podziękować wszystkim tym, którzy przewinęli się przez stronicę tych wspomnień, wzbogacając ich akcją swoją osobą, w relacjach pozytywnych bądź negatywnych, ale zawsze w jakimś stopniu ciekawych i prawdziwych w autentycznym scenariuszu napisanym przez życie, po 90-ciu już latach jego trwania.

Autorka

Motto:

*Upływa szybko życie, jak potok płynie czas,
Za rok, za dzień, za chwilę razem nie będzie nas.
I nasze młode lata upłyną szybko w dal,
A w sercu pozostanie tęsknota, smutek, żal.
Więc póki młode lata, póki świetlane sny,
Niech choć przynajmniej teraz nie płyną lży.
I choć to tylko słowa, życie wciąż cieszy nas,
A przeciwnikiem naszym zostanie tylko czas.*

Był rok 1939, sierpień, ostatnie dni wakacji. W dyskusjach między rodzicami wciąż słyszałam słowo „wojna”, a wyraz ich twarzy ukazywał nerwowe napięcie. Ja 30 kwietnia ukończyłam szesnasty rok życia i miałam pomyślnie kontynuować naukę na 3 roku średniej Szkoły Handlowej w Grodnie, gdzie wówczas mieszkaliśmy, przy ulicy Stanisławowskiej 1, w dwupokojowym mieszkaniu, nawet dość przestronnym metrażowo. Mama – Franciszka, Tato – Napoleon, brat o 2,5 roku młodszy – Eugeniusz i ja – Regina. Oprócz nas mieszkała z nami gosposia, sympatyczna Białorusinka – Paulina, która niemiłosiernie

kaleczyła język polski, którym posługiwała się z nami, dając nam okazję do robienia poprawek w jej wypowiedziach. Do jej obowiązków należało przyrządzanie wszystkich posiłków, sprzątanie oraz dbanie o inne potrzeby nas wszystkich. Dzielnie sobie z tym wszystkim radziła, pod nadzorem i ku zadowoleniu mamy, która była zajęta pracą społeczną. Opiekowała się dziećmi kobiet, które odsiadywały karę więzienia. Dla nas z bratem ciekawością był okres przedświąteczny, kiedy mama robiła specjalne paczki dla tych dzieci, w które wkładała, poza łakociami, również takie rzeczy jak czapeczki, szaliki, pończoszki, bluzeczki, a także coś z bielizny osobistej.

Prasa publikowała coraz częściej artykuły o bieżących zjawiskach politycznych, wśród których powtarzało się słowo „wojna” w różnych jego odmianach i perspektywach sytuacyjnych.

Rodzice coraz częściej w rozmowach między sobą, a także wobec nas, poruszali sprawę wyjazdu z Grodna do Wilna, do babci Zofii – mamy naszej mamusi, gdy tato zostanie zmobilizowany przez wojsko, bo koleje państwowe w czasie wojny były podporządkowane wojsku, natomiast komunikacja ludności cywilnej była zawieszona.

W tej sytuacji mama, dotąd niepracująca zawodowo po wyjściu za mąż, wraz z nami była na utrzymaniu taty i zdecydowała z nim, że wyjedzie z nami do Wilna, również z gospożą. Bagaże podróżne zostały przez mamę starannie przygotowane. Każde z nas miało plecak i jeden pakunek ręczny. Ustalono dzień wyjazdu na 25-go sierpnia 1939 roku pociągiem. Mieszkanie zostało zamknięte na klucz, po wcześniejszym pożegnaniu się z tatusiem. Widzieliśmy je wtedy ostatni raz, nie przypuszczając wówczas, że do niego już nie powrócimy. Przez okna pociągu widzieliśmy tłoczące się wojsko, często z końmi i furmankami, oczekujące na swój pociąg transportowy. Ja, w myślach swych, cieszyłam się, że dzięki temu wyjazdowi znów będę u babci na przedłużonych wakacjach, z których niedawno wróciłam. Moje pobyty wakacyjne u babci to nieustająca nauka różnych tajników ogrodnictwa. Ta wiedza bardzo mnie interesowała i w najśmielszych przypuszczeniach nie pomyślałam, że kiedyś stanę przed problemem „być, albo nie być”. Babcia powitała nas, przybyłych, z wyrazem troski na twarzy. Otrzymaliśmy największy pokój w domu babci i tam mieliśmy się zorganizować do życia codziennego. Tam doszła nas wiadomość, że od jutra, to jest 26 sierpnia, nie będą już kursowały pociągi osobowe z ludnością cywilną, a więc mieliśmy szczęście zdążyć na tak zwany „ostatni pociąg”. Minęło trochę czasu zanim mama ustaliła nowe zasady naszego bytowania. O szkołach nie było na razie mowy, bo wymagało to pozałatwienia wszystkich formalności. Radio podało, że na Grodno spadły pierwsze bomby niemieckie, co oznaczało faktyczny wybuch wojny. My przez zimę byliśmy u babci na prawach gości. Władze litewskie wymieniły na dowód mamy tylko 300 litów, to tyle ile dziś 300 złotych, a więc bardzo mało. Babcia przychodząc do „naszego” pokoju coraz częściej rozważała organizację naszego życia, już nie jako gości, i oświadczyła, że otrzymamy od babci kawałek ziemi na uprawę warzyw, które trzeba będzie sprzedawać na nowogródzkim rynečku, dla uzyskania skromnych pieniędzy dla nas na utrzymanie, a część warzyw przyda się do spożycia przez nas. Nasza gospożka oświadczyła, że zamierza wybrać się przed wojną do Grodna, żeby zobaczyć, co dzieje się z naszymi mieszkaniami. W międzyczasie na nasze wschodnie tereny wkroczyły wojska sowieckie. Mama odradzała gospożi przekraczanie granicy bez paszportu i wizy, ale w końcu ustąpiła uznając, że jako Białorusinka da sobie z Rosjanami radę i dała jej klucz do mieszkania, życząc pomyślności. Nie było jej parę miesięcy, mama denerwowała się, snując najróżniejsze przypuszczenia. Ona jednak szczęśliwie wróciła i przekazała mamie druzgocącą wiadomość, że widziała wywieszone ogłoszenia, między innymi z nazwiskiem taty, że sowieci poszukują go za wysoką nagrodą. Mama przejęła się tą wiadomością tak mocno, że dostała wylewu krwi do mózgu, w następstwie czego została lewostronnie sparaliżowana. Miała trudności z samodzielnym chodzeniem, pomagaliśmy mamie. Dla całej rodziny było to ogromnym przeżyciem.

Babcia powiedziała do mnie: „Widzisz Reginko, że nie na próżno przyjechałaś do mnie na wakacje, a teraz wspinał się radzisz jako samodzielna ogrodniczka, a przy tobie to może i brat nauczyć się też. Będziecie, więc mogli ze sprzedaży jarzyn skromnie się utrzymać”.

Gdy tak, już bardzo późnym wieczorem, zmęczona codzienną, jednak nielekką pracą, leżałam już w łóżku, po głowie krążyły mi różne myśli. Zastanawiałam się, co dalej będzie z naszą niepełną rodziną? Jak długo może trwać taka sytuacja, w której mama nie może nadawać kierunku naszemu młodemu życiu, żyjąca swoim cierpieniem, a do tego ta wojna, która wydarła nam tatę, dotychczasową ostoję naszej rodziny. Zmęczona tym rozpamiętywaniem sytuacji postanowiłam podjąć kontynuację nauki w ostatniej – czwartej klasie średniej Szkoły Handlowej, by uporządkować ten mój odcinek życia, uzyskując dokument finalny – świadectwo ukończenia średniej szkoły. Gdy załatwiłam formalności i namierzyłam jej umiejscowienie, stwierdziłam, że to spory kawał drogi do centrum, przy ulicy Wileńskiej, od krańców miasta, ale muszę rozpracować to organizacyjnie, by zmieścić ten obowiązek wśród innych, a który przecież będzie trwał tylko 9 miesięcy.

Największą trudność widziałam w płynnym opanowaniu języka litewskiego, w którym będę zdawała maturę, obok pozostałych języków przedmiotowych – niemieckiego i rosyjskiego. Muszę tu nieskromnie przyznać, że nauka tych języków przyszła mi bez większych trudności, więc i z tym trzecim powinnam dać

sobie radę. Będę przy każdej okazji próbowała rozmawiać po litewsku. Jeszcze nie zima, ale też daleko do wiosny, nastął martwy sezon w pracach ogrodniczych.

Babcia poprosiła mnie, bym pomogła jej w robieniu porządku na strychu tego domu. Oczywiście zgodziłam się. Gdy otworzyła jedną ze skrzyń, zobaczyłam różne rzeczy, już mocno zużyte a zrobione na drutach z nici wełnianych, i to w różnych kolorach. Konsekwencją była myśl, że gdyby je popruć i uprać można by było zrobić szale, czapki, skarpety i kamizelki na sprzedaż. Upewniłam się u babci, że mogę te rzeczy zagospodarować według własnego uznania. Jeszcze tego samego dnia uprane nici wełniane suszyły się na rozpiętych na strychu sznurach. Najprędzej robiły się szale i czapki, a pora była po temu i to one były naszym towarem na ryneczku. Później były i skarpetki, i kamizelki, a także pieniądze ze sprzedaży. Spać szłam coraz później, ale i wstawałam wcześniej. Radość moja była ogromna, bo udało nam się ten „martwy” okres zagospodarować powiększając nasz budżet. Nauczyłam się języka litewskiego, ale mój brat nigdy nie nauczył się tego języka i dlatego zdawał maturę dopiero po wojnie. Przyczyniło się do tego pewne zdarzenie. Wilno zostało stolicą Litwy i natychmiast pozmieniano nazwy polskie na litewskie. Poszukiwałam sklepu z niemi wełnianymi i po zmianie nazw ulic nie było łatwo go znaleźć. Podeszliśmy z bratem do stojącego na skrzyżowaniu milicjanta, by się go zapytać o tę ulicę, ale gdy on zobaczył, że mój brat ma na głowie polską czapkę ze średniej szkoły – granatową z niebieską wypustką – zerwał mu ją i pociął czymś ostrym, po prostu zniszczył tę czapkę, która nie nadawała się już do noszenia. Brat bardzo przeżył.

W rezultacie tego wydarzenia już nie dowiedziałam się nazwy poszukiwanej ulicy, choć bardzo mi na niej zależało, ale wreszcie samą ją znalazłam.

Nasza gospośnia znów podjęła zamiar ponownego wypadu do Grodna z kluczem od naszego mieszkania. Tym razem już do nas nie wróciła. Od taty też nie było wiadomości. Ja na wiosnę znów zaczynałam swoją pracę ogrodową, wstając o 4-tej rano. Brałam dwa dziesięciolitrowe wiadra i z odległej studni przynosiłam pełne wody do podlania siewów i roślin, które podrosły – marchew, buraczki, pietruszkę, koper. Przerywałam je, wiązałam w pęczki, oplukiwałam wodą i wynosiłam ich pełny kosz na ryneczek. Później były też ogórki, cebula, pomidory, kalafiory, kapusta, a nawet małe ziemniaczki. Na ryneczku byłam od godziny 5-tej do 7-mej, gdzie zamieniałam warzywa na pieniądze. Po powrocie do domu jedliśmy we trójkę śniadanie, a już o 7:30 wychodziłam do szkoły, w której byłam do godziny 15-tej. Po moim powrocie ze szkoły odgrzewałam, ugotowany poprzedniego wieczora, obiad i po jego zjedzeniu przez naszą trójkę znów wracałam do prac w ogrodzie. Muszę tu stwierdzić, że właściwie to na tym ryneczku nauczyłam się języka litewskiego od Litwinek tam kupujących. Zdawany egzamin maturalny w języku litewskim nie stanowił dla mnie problemu. Z dumą oglądałam świadectwo ukończenia średniej Szkoły Handlowej w Wilnie, mieszczącej się przy ulicy Wileńskiej, vis a vis kościoła św. Katarzyny. Jeden obowiązek miałam już z głowy. Zostawały wcale prace ogrodowe i sprzedaż warzyw na ryneczku.

W 1942 roku Wileńszczyznę zajęły wojska niemieckie. Każdy okupant miał na obywateli swego stracha. Sowietnicy wywozili ludzi na Sybir i do zakazanych miejsc, z których nie wszyscy już wracali do Polski, a nawet wielu z nich do tych miejsc nie dojechało, zamarzając w wagonach z zimna i głodu. Niemcy natomiast otworzyli biura – Arbeitsamty. To były urzędy, w których rejestrowano określone roczniki ludzi do pracy na roli w Niemczech, w zamian za zmobilizowanych do wojska – rolników. Wśród tych roczników był i mój – 1923.

Przyjście Niemców na Wileńszczyznę pozwoliło tatusiowi wrócić do naszej rodziny i podjąć pracę na kolei u pracodawcy niemieckiego, zdejmując ze mnie zaszczepny, ale i ciężki obowiązek dźwigania przez 3 lata statusu „głowy rodziny”. Pamiętam ciepłe słowa tatusia z podziękowaniem za zastępstwo. Wzruszyły mnie one do łez, ronionych tym razem z radości. Miałam też powód do dumy, bo zdałam jeden z najważniejszych życiowych egzaminów. Przy okazji przypominałam sobie słowa mojego brata, gdy szłam z przeladowanym koszem na ryneczek i spytałam go: „Gieniu, może pomógłbyś chociaż kawałek ponieść ten kosz?” Mój brat odpowiedział: „Ale ja się wstydzę”. Oczywiście doniosłam sama ten kosz, może tylko trochę dłużej szłam, bo musiałam zrobić przystanek dla odetchnienia.

Nade mną zawisła groźba obowiązku rejestracji do pracy w Niemczech. Energiczne starania tatusia, by mnie zwolnić z tego obowiązku, nie dały oczekiwanych rezultatów. Wtedy tatuś wykorzystał zapis testamentowy swojej mamy, a naszej babci, Salomei – 5 ha ziemi rolnej i uzgodnił ze swym starszym bratem, Marianem, że ja będę urzędowo figurowała, jako uprawiająca tę ziemię, którą dotychczas uprawiał stryj Marian w porozumieniu z tatusiem w zaścianku Poszumień. Bardzo podobała mi się ta nazwa. Obaj bracia uzgodnili, że będę tam u nich mieszkała i pomagała w pracach na równi z jego dziećmi, a w domu ich było sześcioro – Paulina, Janka, Mela, Iruś, Mieczysław i najmłodszy 7-letni Antoś.

Ja miałam już 19 lat, chodziłam do różnych prac w polu. Z pracami tymi zetknęłam się po raz pierwszy w życiu – sianokosy, żniwa, kopanie kartofli. Ambicją moją było podążać razem w pracy z dwoma siostrami stryjeczными, które wciąż mnie baczenie obserwowały i nieraz nawet częstowały kąśliwymi uwagami: „Co to miastowi myślą o pracy na wsi”, które w milczeniu przyjmowałam. Niby nie było to mówione imiennie do mnie, ale o mnie. Nauczyłam się tam też podczas mojego pobytu doić krowy, prząść len i wełnę. Starsza stryjeczna siostra, Janka, rozpoczęła naukę szycia u krawcowej w miasteczku

Nowe Świętajny, siedem kilometrów od naszego zaścianka. Przychodziła do Poszumienia tylko na niedzielę i święta. Los uwolnił mnie od nadmiaru krytycznych uwag. Jej siostra, Hela, była bardziej powściągliwa, a nawet milcząca. W Poszumieniu był taki zwyczaj, że pracowało się tylko do godziny 13-tej latem i przed upałem wracało się do domu na obiad i na odpoczynek. Zdarzyło się mi pewnego razu, że ja na wzór domowników położyłam się też i nawet usnęłam w małym przechodnim pokoiku bez okien. Stryjenka, która w polu nie pracowała przyrządzała całej rodzinie obiad w kuchni. Ja w pewnym momencie usłyszałam we śnie głos mojej mamy, a także zobaczyłam jej postać stojącą w drzwiach z kuchni do tego pokoiku, w którym zasnęłam: „Przyszłam z tobą pożegnać się”. W ręku jej widziałam węzełek, który trzymała. Gdy rozespana podniosłam się z łóżka uradowana, że zobaczę mamę, weszłam do kuchni, ale mamy tam nie było, a stryjenka dziwnie na mnie patrzyła, gdy zapytałam ją: „A gdzie jest moja mama?” Stryjenka napełniała zupą talerze, stawiając je na stole i odpowiedziała: „Tutaj twojej mamy nie ma”. Byłam zdziwiona odpowiedzią i nawet pomyślałam, że stryjenka żartuje, choć z natury była kobietą poważną. Ja przeszłam przez kuchnię i ganeczek, i znalazłam się na podwórzu, wciąż szukając wzrokiem mamy, ale i na podwórku jej nie było, więc wróciłam do kuchni, gdzie przy stole siedzieli już domownicy rozpoczynając zupę. Zająłam swoje miejsce. Gdy tak wszyscy siedzieliśmy jedząc ja spojrzałam w okno wychodzące na podwórze i zobaczyłam, że do ganeczku zbliża się listonosz, który wkrótce wszedł do kuchni trzymając w ręku jakiś papier i wymówił moje nazwisko oraz słowo TELEGRAMAS. Na te słowa wstałam, odebrałam telegram i przeczytałam na głos jego treść, napisaną w języku litewskim: MOTINA MIRE – TEWAS. To znaczyło: „Matka umarła – ojciec”. Za kilka dni zjawiał się i tatuś, potwierdzając treść telegramu, a ja opowiedziałam o moim sennym zjawisku. Nie byłam bardzo zdziwiona tą wiadomością, bo wiedziałam, że mama miała wylew krwi i była sparaliżowana, ale zdawałam sobie sprawę, że oznacza ona kolejny zwrot w moim życiu, a także, jak się później dowiedziałam, kolejną zmianę miejsca pobytu.

Tata skrupulatnie wypytywał mnie o moje tu samopoczucie, a widząc mnie dużo szczuplejszą, a może i zmizerowaną oświadczył, że pojedę z nim do jego siostry, to około czterdziestu kilometrów dalej, do drugiego zaścianka o dziwnej nazwie Usiewciszki, gdzie rodzina jest mniej liczna, a poza stryjenką są tylko mężczyźni – stryj Władysław oraz czterej synowie: najstarszy Mieczysław, który ukończył w Grodnie Seminarium Nauczycielskie i nawet dość często bywał u nas na niedzielnych obiadach, Romuald pracujący jako pomocnik maszynisty kolejowego w Starych Świętajnach, bywający w domu od czasu do czasu, następnie Jan, mój rówieśnik oraz młodszy o 3 lata Władek.

Wszyscy trzech bracia stryjeczni stale pracowali na roli w dużo większym gospodarstwie, bo liczącym około 30 hektarów ziemi, a stryj Władysław, jak zauważyłam, przeważnie zajmował się pasieką pszczelą i to dość dużą, bo liczącą 30 uli, zarówno nowoczesnych w budowie – jako drewniane domki pszczele, choć wśród nich były też tak zwane „kłody”, po prostu bale starych drzew, gdzie pszczoły gnieździły się, a które stryj zlikwidował, przenosząc roje pszczoł do zrobionych przez niego domków pszczelich, łatwiejszych i praktyczniejszych w obsłudze, umożliwiających większą ingerencję w życie pszczoł. W tych domkach – ulach, znajdowały się ramki tak ukształtowane, że pszczoły budowały w nich pojemniczki na miód, które gdy zostały nim napełnione pszczoły zasklepiały woskiem. Gdy ramka była zasklepią z obu stron, stryjek wyjmował ją i opróżniał z miodu w ruchomym pojemniku, poprzez wirowanie, a ramki z zachowanymi pojemnikami na miód ponownie wstawiał do ula, by pszczoły znów zapełniały je miodem.

Ci młodszy bracia przejawiali chęć niesienia mi pomocy przy pracy z nimi lub w pobliżu, a więc stać ich było, jako mężczyzn, na odruchy szarmanckie, choć nie każdy z nich w równej mierze wykorzystywał treść tego słowa. Mieczysław, którego wcześniej poznałam w Grodnie, gdy on się tam uczył i zaznał przez kilka lat innego życia, poznał inne środowisko ludzi, którym przyświecały podobne lub takie same cele jak jemu, choć dochodził do nich innymi drogami i większym wysiłkiem, uważał ten fakt za niesprawiedliwość społeczną i był przekonany, że środowisko miejskie żyje kosztem środowiska wiejskiego. W moich z nim relacjach miałam układy prawie poprawne, choć nie do końca bezbolesne. W związku z tym starałam się, aby nasze kontakty bezpośrednie były ograniczone do niezbędnych, aby nie mieć okazji do wchodzenia z nim w drażliwe dla mnie dyskusje, choć mimo wszystko nieraz dochodziło do nich, co nie było miłe, a także nie do uniknięcia. Najbardziej pomocnym był Janek. Robił to bardzo taktownie. Starał się szybciej kończyć przeznaczoną dla niego pracę, by móc dotrzeć do mnie z pomocą. Mężczyźni pracowali zazwyczaj polu, a ja miałam swój „rejon” przy domu, gdzie pracowała stryjenka. W tym gospodarstwie było dużo owiec, więc gdy nadeszła pora porodu jagniąt – wiosna, trzeba było nosić z domu do obory dużo poidła dla tych owiec – matek karmiących, by miały dostatek mleka do wykarmienia potomstwa. Stryjenka przyrządzała takie trochę gęstawe poidło z różnymi dodatkami a ja brałam najczęściej dwa drewniane wiaderka naraz z taką zawartością i niosłam je do obory, i tam poiłam owce, czekając aż wypiją. Towarzyszyłam też stryjence przy stryżeniu wełny owczej. Nieco później nauczyłam się ją prąść w możliwie najcieńsze nici, z których później stryjenka tkła naprawdę piękne materiały, a także sama szła z nich marynarki i spodnie dla domowych mężczyzn. Ja w jesienne wieczory robiłam na drutach swetry, szaliki, skarpety i rękawice, z czego stryjenka była bardzo zadowolona, ponieważ sama nie posiadała tej umiejętności. Mężczyźni zaś licytowali się, którego sweter jest

najładniejszy, bo nie robiłam ich w jednakowe wzory. Jedyłą uciążliwością poza pojeniem owiec było mieszanie ciasta chlebowego na zakwasie, do której to czynności stryjenka budziła mnie o 4-tej rano, a praca przy tym trwała dość długo, bo około półtorej godziny. Dzieża była bardzo duża, a więc i ciasta sporo, bo stryjenka robiła z niego aż osiem dużych bochenków chleba, które nie mieściły się na raz w piecu. Piekło się je na dwa razy. Zawsze obserwowałam jak stryjenka wkładała uformowane ciasto na łopacie drewnianej i zsuwała je do gorącego pieca. Raz stryjenka zaproponowała mi bym popróbowała taki bochenek uformować na tej łopacie i umieścić go w piecu. Zrobiłam ładny bochen, zgrabnie siedział na łopacie, ale to był dla mnie za duży ciężar i ciasto wyślądowało na przypiecku. Nie wytarłam i nie osuszyłam dobrze rąk, więc ślizgały się na drągu łopaty, która zrzuciła to ciasto. Poprzestałam więc na mieszanii ciasta, po którym miałam od kwasu czerwone ręce, bo ciasto zawierało dużo kwasu.

W gospodarstwie oprócz owiec było też dużo krów. Wydojone mleko było wożone codziennie do mleczarni w konwiach trzydziestolitrowych. Zazwyczaj było ich czterech, a wioził je furmanką Janek. Uzyskałam zgodę stryjenki na towarzyszenie mu. Cieszyłam się z takiego urozmaicenia, bo traktowałam ten czas jako odpoczynek pomiędzy pracami.

Przy okazji pobytu w Usiewiszkach często towarzyszyłam stryjowi przy pszczołach. Poznałam, w jaki sposób zabierać im miód, częstując je w zamian cukrowym syropem, jak dokarmiać na zimę. Widziałam jak się roiły i jak należy taki rój osadzić w nowym, pustym ulu. Wiele lat później miałam okazję posiadać własną pasiekę, i to w Warszawie, składającą się z szesnastu uli, którą tam przywiozłam ze wsi, gdzie zajmował się nią tato, do czasu choroby. Miód z mojej pasieki miał kolor ciemno-brązowy, bo poza ogrodzeniem dużej parceli w Pyrach ciągnął się siedmiokilometrowy odcinek lasu.

W końcu 1944 roku powróciłam z Usiewiszek do Wilna i w tym samym roku wrócił mój brat, który pracował na Litwie, w Szawlach, w warsztacie kolejowym. W owym czasie ogłoszono, że Polacy, którzy chcą wyjechać z Litwy do Polski mogą zarejestrować się w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym. Nasza trójka, po wspólnej naradzie, rozważyła istniejącą sytuację Polaków na Litwie i postanowiliśmy wyjechać do Polski, bo Wileńszczyzna zostawała w granicach Litwy, jako któraś tam republika Związku Radzieckiego.

Polska to dla Polaków – wielkie słowo, ale też kryjące w sobie wielką niewiadomą. Na pewno nas przygarnie, ale po raz drugi zmusza nas do pozostawienia naszego dobytku, to jest drugiego mieszkania, a właściwie domku jednorodzinny z cegły sylikatowej, z trzema urządzonymi pokojami, ogrodem i sadem owocowym, 600 metrowym. Tym razem będziemy odbywali podróż w nieznane, szukając w ciemno nowego miejsca dla naszej rodziny, którą wojna co i raz obdziera z posiadanych dóbr, osiągniętych dzięki pracowitości i zapobiegliwości tatusia. Osiem transportów Polaków z Wileńszczyzny już odjechało do Polski. Wszystkim towarzyszyły nasze obserwacje, by na ich przykładzie dobrze przygotować się do tej nieprzewidywalnej i tajemniczej podróży, która miała rozpocząć się 9 lutego. Regułą było, że do transportu wyjeżdżających podstawiano wagony towarowe, metalowe węglarki, a więc bez dachu, posiadające zamykające się drzwi. Dobrodziejstwo natury w tym okresie to mróz, śnieg, grad, deszcz i niemożność obrony przed nimi przez miesiące podróży. Także nieregularne odżywianie i utrudnione utrzymanie higieny. Wciąż jeszcze trwała wojna i pierwszeństwo przejazdu miały transporty wojskowe z uzbrojeniem i wojskiem. Przygotowywano nas do bycia cierpliwymi, gdy będziemy odstawiani na boczne tory, czekając na swoją kolejność. 6 lutego 1945 roku przedzielono nam jedną z prawie ostatnich węglarek, byśmy mogli poznosić do niej nasze podróżne bagaże. Każdą węglarkę zajmowały dwie rodziny. Nas również uprzedzono, że jeśli zgłosi się jeszcze jakaś rodzina na podróż 9 lutego, to mogą ją nam dokwaterować.

Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że opuszczamy te ziemie na trzy miesiące przed podpisaniem traktatu pokojowego o zakończeniu wojny i ustaleniu granic Polski bez Wileńszczyzny. Ustalony termin wyjazdu transportu był fatalny – mroźna zima, mróz minus 18 stopni. Nasze bagaże były zapakowane w worki jutowe i jedną walizkę. Metal wagonów uniemożliwiał przysposobienie ich do obrony nas i bagaży przed wszelkimi opadami i mrozem, zimowej wentylacji. Nikt nie znał długości czasu podróży i miejsca czy stacji pierwszego postoju transportu ani jego czasokresu. Wyruszyliśmy 9 lutego 1945 roku wczesnym rankiem. Spaliśmy w ubraniu i obuwiu, a pod głowami mieliśmy bagaże. Na postojach próbowałam, na prymitywnej płycie z dwóch cegieł i ognia, ugotować zupę. Czasem udawało się, ale bywały przypadki, że rondel z zawartością zostawał, bo transport już ruszał. Raz zdarzyło się, że gdy staliśmy na boczniczy poszłam do pobliskiej siedziby umyć się, ale gdy wracałam transport już ruszał. Tylko dzięki małej, początkowo, prędkości udało się tatusiowi i bratu wciągnąć mnie do wagonu. Nie wyobrażam sobie, co stałoby się, gdybym tam wtedy została? To było dla mnie pouczające doświadczenie. Regułą było, że gdy transport stał gdzieś można było u kierownika transportu otrzymać kubek przegotowanej wody trzy razy dziennie. Zazwyczaj kierownik transportu zawiadamiał, że może nastąpić wcześniejszy odjazd transportu.

Wszyscy chcieli jak najszybciej opuścić Litwę. Były wśród nas osoby, które obawiały się zawrócenia ich na Litwę przez NKWD i wpakowanie do transportu jadącego w przeciwnym kierunku – na wschód. Takie przypadki miały miejsce w poprzednich transportach. Sami też mieliśmy możliwość oglądania, w dniu odjazdu, transportu na sąsiednim torze, którego lokomotywa była skierowana na wschód, a wagony

wprawdzie były zadaszony, ale zamknięte i pilnowane przez uzbrojonych żołnierzy sowieckich, a przez małe okienko słychać było głosy ludzi.

Mineliśmy wreszcie szczęśliwie granicę litewsko-polską i wszyscy odetchnęli modląc się i śpiewając pieśni religijne. To było wzruszające, a także cieszyliśmy się, że zostawiamy za sobą mroźną Wileńszczyznę. Białystok był pierwszym naszym przystankiem na polskiej ziemi, gdzie bez lęku można było się umyć i przystosować nasze ubrania, by tak siermiężnie nie wyglądać. Transport znów ruszył z informacją, że jedziemy w kierunku Mławy, to tam usłyszeliśmy kościelne dzwony i zobaczyliśmy odświętnie ubranych ludzi zmierzających do kościoła na wielkanocną mszę, w pobliżu którego przejeżdżaliśmy.

To był już marzec 1945 roku. Zostaliśmy też poinformowani, że transport będzie kierował się w stronę Warszawy, ale na dłużej zatrzymamy się w Rembertowie. Każda rodzina ma podjąć decyzję, w który region Polski zamierza się udać. Pierwsze propozycje dotyczyły Ziem Zachodnich – Wrocław, Opole, Wałbrzych, Zielona Góra, Szczecin, Gdańsk, bo w tych miastach istniała szansa na znalezienie mieszkania. Tatuś, po dyskusji z nami, zdecydował, że my będziemy się kierować do Gdańska skąd, według zasłyszanych wiadomości, wyjechało najwięcej Niemców do Niemiec, ale miasto zostało zaminowane przez wycofujące się wojska niemieckie i w związku z tym trzeba było oczekiwać na jego rozminowanie. Byliśmy już w Rembertowie, zaczął się kwiecień 1945 roku. W Rembertowie pozostawało coraz mniej wileńskich repatriantów, po wyjazdach znacznej ich części do miast zachodniej Polski.

Nas powiadomiono wreszcie, że mamy się szykować do podróży, która będzie odbywała się etapami, stopniowego przybliżania się w kierunku Gdańska, którego rozminowywanie wciąż jeszcze trwało. Pierwszy etap to Poznań-Kobyłe Pole, siedem kilometrów od tego miasta. Gdy dotarliśmy tam kazano nam wysiąść z rzeczami na peron i tam oczekiwać na dalsze informacje i dyspozycje. Gdy nastał wieczór nadleciało kilka samolotów niemieckich, a nam kazano schować się pod wagony transportu, który nas nie opuścił jeszcze. Po niedługim czasie słychać było daleko od naszej stacji wybuchy, a następnie warkot samolotów umilkł i alarm odwołano. Nastąpiła cisza, pełna niepokoju, i tak wyszliśmy spod naszych wagonów na peron i przesiedzieliśmy tam noc, do rana. W międzyczasie odjechały wagony naszego transportu, które gościły nas dotąd. Tatuś zostawił nas, nakazując pilnować bagażu, gdy nam zamykały się oczy ze zmęczenia. Sam poszedł dowiedzieć się, co z nami dalej. Ja z bratem siedziałam na jednym z worków, czekając na powrót tatusia. W międzyczasie na drugi tor przy tym peronie wjechał transport pełen żołnierzy radzieckich, którzy bardzo głośno się zachowywali. Jak się później okazało, byli pijani, a była to czołówka, która zdobywała Berlin i w nagrodę jechali już do domów w Sojuszu, bo dla nich wojna już się skończyła. Każdy z wychodzących na peron żołnierzy miał na rękach kilka zegarków ręcznych, a nawet niektórzy mieli zegary szafkowe – ściennie z wahadłem. Niektórzy z nich mieli przy sobie krótką broń palną. Jeden z nich podszedł do naszych bagaży i zabrał naszą walizkę – jedyny bagaż przyzwoicie wyglądający. Baliśmy się protestować, by nas nie zastrzelono. Z ubolewaniem patrzyliśmy na oddalającego się wojaka z naszą walizką, ale byliśmy bezradni. W ten to sposób zostaliśmy ubożsi o rzeczy, których nie byliśmy w stanie obronić. Gdy odjechał ten wojskowy transport zrobiło się ciszej, ale na jego miejsce wkrótce przyjechał pociąg z wagonami osobowymi. W międzyczasie powrócił tatuś, któremu opowiedzieliśmy o okolicznościach utraty walizki. Widzieliśmy, że tatuś był tym faktem bardzo zmartwiony jeszcze dość długi czas. Jak nam później powiedział, straciliśmy w niej środki na pierwsze nasze zagospodarowanie się. Dzieliliśmy z tatusiem wspólnie to zmartwienie, ale to i tak nie zmieniało faktu na naszą korzyść. Wnieśliśmy nasze bagaże do tego osobowego pociągu, który niedługo ruszył w kierunku Bydgoszczy. To byłoby stamtąd do Gdańska tylko około 160 kilometrów. W Bydgoszczy przydzielono nam dwupokojowe mieszkanie, przy ulicy Pomorskiej 28, w którym mieszkaliśmy trzy tygodnie, a 1 maja 1945 roku wyjechaliśmy pociągiem osobowym do Gdańska. To był ostatni odcinek, który dzielił nas od wybranego miejsca pobytu.

Jadąc obserwowaliśmy z ciekawością przez okna nieznane nam bliżej miasto i odczytywaliśmy ogromne napisy z datami rozminowania – 27, 28, 29 kwietnia lub po rosyjsku „min niet”. Wysiedliśmy w Gdańsku Głównym, mając skierowanie do mieszkania w blokach kolejowych, przy ulicy 3 Maja, w których to blokach z czerwonej cegły jeszcze gdzieś mieszkaly wdowy po kolejarzach niemieckich. Nie podobał nam się ten brzydki, długi budynek, ani okolica, hałaśliwa, ze względu na bliskość linii kolejowej. Tatuś ustalił, że to dwupokojowe mieszkanie zajmujemy tylko czasowo i mieszkając tu, będziemy szukali innego mieszkania. Po jakimś czasie ja znalazłam, przy Alei Grunwaldzkiej, tuż prawie na styku z ulicą 3 Maja, willową posesję, nawet z filarami, umeblowaną, która podobała się też tatusiowi. Nocowałam tam nawet dwie noce, ale trzeciego dnia przyszedł pan z dokumentem, że dom jest zarezerwowany do dyspozycji Rady Narodowej. Z żalem go opuściłam. Tatuś załatwił sobie pracę na kolei, w dzielnicy Zaspas, i tam, przy ulicy Klonowicza 82 znalazł domek jednopiętrowy z dwoma mieszkaniami i ogrodem, 300 metrów kwadratowych, w którym mieszkaly dwie kobiety – Niemki, szykujące się już do wyjazdu do Niemiec. Uzgodniliśmy, że do ich wyjazdu zamieszkamy w tym domu w mieszkaniu na piętrze. One wyjechały po trzech tygodniach. Tatuś zaczął

załatwiać formalności związane z przyznaniem nam tej posesji. Był to dom murowany, pomalowany na biało, w dobrym stanie technicznym, a także częściowo umeblowany, podpiwniczony.

Tatusz podjął pracę na kolei na Zaspie, a ja znalazłam pracę w Radzie Narodowej w Gdańsku Główny, przy ulicy 3 Maja, w pobliżu owych kolejowych bloków. Do pracy dojeżdżałam tramwajem. Mój brat, Gienio, podjął trud zrobienia matury w liceum, też w Gdańsku Głównym. Tak wyglądał początek naszej stabilizacji życiowej.

Kiedyś, robiąc porządki w „naszym” już domu, gdy usiadłam by odpocząć, myślami wróciłam do momentu, gdy opuszczaliśmy nasz domek w Wilnie, a mieszkała z nami już para ludzi czekających na nasz wyjazd – Ukraińców. Ja sięgnęłam jeszcze po kuferek wyhaftowany przez moją, nieżyjącą już mamę, a wtedy odezwała się Ukrainka: „Nie ruszajcie tego, bo to wszystko jest już nasze”. Nie było mi sądzone wziąć takiej drobnej pamiątki po mojej mamie i lzy żalu zaszkliły mi oczy.

Drugim incydentem, należącym do milszego wspomnienia, było rozstanie z moim miejscem pracy na Litwie, w Ministerstwie Oświaty. W Urzędzie Repatriacyjnym wymagano przedłożenia zaświadczenia, że rozliczyłam się z miejscem pracy. Zgłosiłam się do działu kadr z prośbą o takie zaświadczenie. Kadrowa, zdziwiona, zapytała mnie, po co ja jadę do Polski. Odpowiedziałam, że jestem Polką i wyjeżdżam z Litwy jako repatriantka. – „Wy Polką?” – „Tak”. Zdziwienie było ogromne, bo w centralnych instytucjach na Litwie nie wolno było zatrudniać Polaków. Ja tam dostałam zatrudnienie, bo ankiecie personalnej nie wypełniłam rubryki „Narodowość”, natomiast w rubryce „Znajomość języków” podałam: litewski, rosyjski, niemiecki, polski. Trzeci incydent przeżyłam wspólnie z bratem, przy uzyskiwaniu zaświadczenia o zwolnieniu go z obowiązku służby wojskowej, tak zwanej z rosyjska „bronierowki”. Do „Wojenkomatu” poszliśmy oboje, ze względu na jego bezpieczeństwo. Gdy brat poprosił o dokument, zapytano, niby żartem, niby serio: „Co możemy dostać w zamian?” Graliśmy o wielką stawkę, bo bez tego dokumentu nie mogłby wyjechać do Polski z Litwy radzieckiej. Wtedy to ja udzieliłam odpowiedzi obu panom. Możemy przynieść cztery krzesła stylowe, gdańskie, obite skórą. Przyjęto naszą ofertę i po wniesieniu krzesel otrzymaliśmy niezbędny dokument, choć tak do końca nie byliśmy tego pewni. Opowiedziałam o tym przypadku tatusiowi.

Dzień 9 maja 1945 roku był obchodzony, jako wielkie święto zwycięstwa nad faszyzmem. Wszyscy odetchnęli, bo skończył się koszmarny czas wojny i niepewności jutra, okupiony tyloma ofiarami fizycznymi i moralnymi, oraz tymi, które nie zmieściły się w tych określeniach. Liczono zyski i straty. Polska, na mocy układów politycznych trzech wielkich mocarstw, otrzymała tak zwane „Ziemie Zachodnie”, historycznie „dawne nasze”, ale przed wojną należące do Niemiec. W zamian oddaliśmy znaczne połacie Kresów Wschodnich, do których na południu rościła sobie pretensje Ukraina, do środkowych – Białoruś, a do Ziemi Wileńskiej – Litwa. Z tym terenem wiązało się wiele tradycji: Sanktuarium Matki Boskiej Ostrobramskiej z cudownym obrazem, Cmentarz Rosy, stanowiący dokument polskości tych ziem, od wieków potwierdzany nazwiskami z nagrobków. Słynne jarmarki „Kaniuki”, organizowane 4 marca, na Kazimierza, patrona Wileńszczyzny.

Układy międzynarodowe brutalnie odgradziły Polaków formalizmem od swej historii i terenów z nią związanych. Nie dano nam wyboru i nie pytano też nas o zgodę.